

Żukrowski, Wojciech

Pogromcy wałkoni

Przegląd Pruszkowski nr 1, 9-10

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojciech Żukrowski

POGROMCY WAŁKONI

Ileż to razy, wstając z poczuciem czekającej mnie grozy, bo właśnie zapowiedziano klasówkę z matematyki, wlokąc się do szkoły marzyłem, że może coś się w nocy przydarzyło: ziemia się otworzyła i pochłonęła całą budę, albo mały pożar spopielił wszystkie dzienniki klasowe w pokoju nauczycielskim... Ale gdzie by takie prośby zostały wysłuchane! Gmach stał nietknięty, a profesor, rozdając tematy na specjalnie przygotowanych kartkach, żeby każdy się we własnym zakresie męczył i nie mógł zrzucać od kolegi, spoglądał na mnie z takim obrzydzeniem, zgadując strach i niewiedzę ostateczną, aż mnie dreszcz przenikał...

Ileż ja dwój nazbierałem, a przecież nie byłem ani leniem, ani tępakiem! Tylko uczyłem się tego, co mnie naprawdę interesowało: przyroda, chemia - głównie z zakresu podsmradzania i pirotechniki, a botanika kazała mi wymykać się wiosną na węgry, sprawdzać czy zioła prawidłowo rosną. Ojciec zwykł przemawiać do mnie z obu stron, do głowy gromkim słowem i do drugiej strony wcale krzepką ręką.

Nienawidziłem belfrów, zmieniałem szkoły. Dwie dziś się do mnie przynają, zwłaszcza ta, w której dość długo dojrzewałem by dobić wreszcie do matury. Uciekłem od Batorego, gdzie uczył mnie profesor Radwański, cudowny Wutke, poeta-futurysta Młodożeniec, żeby wpaść z deszczu pod rynną, bo u Zana w Pruszkowie matematykę wyśrubowano wysoko i jak na zgubę wykladał ją sam Dyrektor. Otóż ten znakomity pedagog miał miły zwyczaj, że dopadłszy kogoś z opryszków, jakich przyszło mu ociosywać, a lby im nasącał olejem wiedzy, dobywał z kieszeni maszynkę do strzyżenia i jak skalp wystrzygał dróżkę od czoła po ciemię. Resztę dokończyć miał fryzjer. A buda ta była koedukacyjna, stąd też świeciłem głowiną aresztanta. Ale takich jak ja bywało na szczęście więcej.

Boże, co za sztańskie pomysły w tych osmyczonych pałach się legły! Świeżą wiedzę użytkowaliśmy na instalowanie podsłuchów, żeby wiedzieć co nam naprawdę grozi, gdy nad nami radzić pocznie czcigodne ciało pedagogiczne, jaki wyrok zapadnie. Diabełstwo w nas siedziało. Z gruszek do lewatywy robiłem sikawki-dyngusówki. Koledze, który mnie kolnął w tyłek cyrklem, dmuchnąłem w oczy naskrobanym grafitem z chemicznego

ołówka i przez trzy dni płakał fioletowymi łzami! Zimą rzucaliśmy grudami śniegu w sufit nad katedrą i oczywiście kapąło profesorowi na kark, a my wmawialiśmy, że to rura kanalizacyjna nawaliła. Hurmą rzucaliśmy się by usłużnie przesunąć katedrę, woziliśmy profesora po klasie i tak lekcja mijała. Paliliśmy "śmierdziela" w szafie, dym kłębami walił przez wszystkie szpary, budząc udany przestrah. Szczypane koleżanki piszczały... Ruch był w interesie, wielkie otwieranie okien, wietrzenie!

Nie wiecie, co to "śmierdziel"? Zapytajcie własnych dzieci, one wam wyjaśnią, bo tradycję od pokoleń się dziedziczy i pielęgnuje, od przekazywania są repetenci, stąd ich przewaga, rządzą młodszymi. Nie żądajcie, żebym dawał przepisy jak się majstruje z klisz filmowych petardę dymną!

Różne się z budy wspomnienia wynosi, ale jest to czas wielkiej przyjaźni, a bywa, że i pierwszej miłości. Choć nauka wydaje się katogą, po dostaniu matury, patentu na cielecą dojrzałość, jednak zostaje dziwny sentyment do szkoły, wspólnota klasowa. Nawet ci straszni pogromcy, którzy wchodzili do klatki z dzikimi bestiami zwanej klasą, jakoś stają się miłsi, dobrze ich się wspomina. Ja przynajmniej wiele zawzdzidczam znakomitej polonistce, pani Stanisławie Ostrowskiej, która mnie zawsze przed dyrektorem broniła, a był jej mężem i uparł się, że ze mnie zrobi matematyka. Najgorsze są te ambicje, oczywiście u pedagogów!

Na szczęście miałem koleżankę, która mi posyłała ściągaczki, na maturze też mi zadanie rozwiązała. Dobra matematyczka, późniejsza słuchaczka samego profesora Sierpińskiego. Byłem jej tak wdzięczny za tę pomoc i podpowiadanie, że się z nią musiałem ożenić. Tatuś kazał, choć się dziesięć lat opierałem, bo wołałem być dożywotnim narzeczonym.